Przystanek historia

https://przystanekhistoria.pl/pa2/teksty/130164,Ewa-Tomaszewska-i-jej-dzialalnosc-w-Solidarnosci.html



Strajk głodowy w Łodzi, 30 lipca 1981 r. (fot. z zasobu AIPN)

ARTYKUŁ

Ewa Tomaszewska i jej działalność w Solidarności

OKRES HISTORYCZNY

(1980-1990) Epoka Solidarności

Autor: KINGA HAŁACIŃSKA 20.11.2026

W latach osiemdziesiątych jedna z bratanic, wówczas w wieku przedszkolnym, spytała mnie: „Czy ty musisz tak ciągle chodzić do tego więzienia? Nie lepiej pójść ze mną na spacer?” – wspomina Ewa Tomaszewska. Okres Solidarności

stanu wojennego był dla niej czasem pięknym, choć trudnym. Przeciwstawiała się złu, tego uczył dzieci jej ojciec, Stanisław.

W czasie wojny ojciec organizował ruch harcerski w Płocku. – To miasto jako jedyne poza Lwowem zostało odznaczone za wojnę z bolszewikami, brał w niej udział mój dziadek – opowiada Ewa Tomaszewska o miejscu, w którym w 1947 r. przyszła na świat.

W warszawskim Liceum im. Królowej Jadwigi młodziutka Ewa obracała się dalej w harcerskim środowisku, angielskiego uczyła ją Anna Zawadzka, siostra legendarnego „Zośki”

Gdy była mała, często wyłączano prąd. Mama robiła wtedy na drutach, wykorzystywała ciemność i dziergała dzieciom ubranka. Tata brał ich na kolana i śpiewał patriotyczne piosenki, uczył modlitwy. Rodzice byli księgowymi, wyprowadzili się z Płocka w 1954 r., gdy ojciec dostał posadę w stolicy. Mama znalazła zatrudnienie w Chorągwi Mazowieckiej, później w głównej kwaterze harcerstwa, współpracowała z Aleksandrem Kamińskim, autorem „Kamieni na szaniec”, z którego synami Ewa i jej brat wyjeżdżali latem na obozy harcerskie. W warszawskim Liceum im. Królowej Jadwigi młodziutka Ewa obracała się dalej w harcerskim środowisku, angielskiego uczyła ją Anna Zawadzka, siostra legendarnego „Zośki”. Ewa była świetna z matematyki i fizyki, pięknie malowała. – Malarstwo można uprawiać amatorsko, poszłam na wydział matematyczno-fizyczny – uśmiecha się.

Wiosną 1968 r. rozpoczęły się studenckie protesty. Ewa 9 marca ruszyła z tłumem młodzieży z Politechniki Warszawskiej na uniwersytet. – Szliśmy szerokim potokiem przez pl. Konstytucji. Było to tuż po Dniu Kobiet i panie rzucały nam tulipany z okien. Trzymaliśmy w rękach otwarte legitymacje. Skandowaliśmy, że jesteśmy studentami, nie chuliganami – wspomina. Dwa dni później, a było przenikliwie zimno, władza użyła na Krakowskim Przedmieściu polewaczek i gazów łzawiących. – Jak człowiek wyciągnął rękę, to nie widział własnych palców. Nigdy już potem tak nie było – dodaje. Zmotoryzowane Odwody Milicji Obywatelskiej przyjechały specjalnymi autobusami z Golędzinowa, by bić wszystkich jak popadnie, nawet staruszki.

Dorosłość

W roku 1970 pracowała w Zakładach Mechanicznych im. Marcelego Nowotki, gdy docierały wieści o tym, co się działo w Czarny Czwartek na Wybrzeżu. Pracownicy Fabryki Wyrobów Precyzyjnych im. Karola Świerczewskiego ogłosili protest; ormowcy z zakładów Nowotki pojechali gasić ten bunt. Mimo to pracownicy Fabryki Wyrobów Precyzyjnych im. K. Świerczewskiego i Zakładów Mechanicznych im. M. Nowotki rozpoczęli strajk. – Dyrektor techniczny w nowym mundurku roboczym udzielał wywiadu, „jak my tu pracujemy i nie dajemy posłuchu tym wichrzycielom”.

A wtedy ludzie się zdenerwowali i następnego dnia, w sobotę, zaczęli strajk na mechanicznym, potem przeszło to na odlewnię – wspomina pani Ewa. Była zatrudniona w gospodarce narzędziowej – na hali B przy maszynach stało 2,5 tys. ludzi. Robili m.in. frezy do produkcji śrub okrętowych, więc ludzie dokładnie wiedzieli, co się dzieje w Gdańsku. Gdy sześć lat później wybuchły protesty w Radomiu, pani Ewa pracowała w Ośrodku Badawczo-Rozwojowym Pomocy Naukowych i Sprzętu Szkolnego. Jan Lityński i inni jej koledzy ze studiów poprzez Komitet Obrony Robotników starali się pomóc represjonowanym robotnikom, a tysiące Polaków traciło resztki złudzeń co do systemu, w którym przyszło im żyć. Powoli brakowało wszystkiego, przede wszystkim nadziei. – Przed sierpniowymi strajkami czuło się atmosferę ogólnego zastoju, w której nie dało się już oddychać. Czuliśmy, że już dłużej tego nie wytrzymamy, podusimy się, jeśli się nic nie zmieni – konstatuje Ewa.



Ewa Tomaszewska (fot. z zasobu AIPN)

W sierpniu 1980 r. rozpoczął się kolejny robotniczy protest. Pamięta, jak stała przed oszkloną ścianą studenckiego klubu Remont, gdzie zbierał się tłum, by czytać komunikaty z Gdańska. Każdy chciał wiedzieć, co się dzieje. – Jakakolwiek niezależna od władzy organizacja, która by powstała w 1980 r., byłaby tą, do której wszyscy zapisaliby się od razu. Tak właśnie stało się z Solidarnością. Ponieważ była wynikiem strajku i podpisanych w jego efekcie porozumień, przybrała formę związku zawodowego – opowiada. Została współpracownikiem Regionu Mazowsze „S", konsultantem, mediatorem i interwentem. W swoim zakładzie pracy też współzakładała Solidarność, ale ze względu na stanowisko kierownicze nie mogła pełnić żadnej funkcji związkowej. W jednym z miejsc, gdzie pomagała w przeprowadzeniu wyborów, zadano jej pytanie: „Czy będzie wolno zobaczyć nazwiska osób, które mamy wybrać?" – Takie było poczucie własnych praw i mocy sprawczej u pracowników we własnym związku – przypomina pani Ewa.

Latem 1981 r. nastąpiło całkowite załamanie rynku, sklepy świeciły pustkami. Skończyły się dostawy mięsa, przetworów, artykułów spożywczych, chemii gospodarczej, odzieży, obuwia, sprzętu AGD, mebli… Po artykuły sprzedawane na kartki trzeba było stać w wielogodzinnych kolejkach. Solidarność zorganizowała w kilku miastach protestacyjne marsze głodowe. Największy, z udziałem ponad 10 tys. osób, miał miejsce 30 lipca w Łodzi.

> „Idziemy do komunizmu, prosimy nie jeść w marszu", „Socjalizm doktryną głodu, nędzy i brudu", „Powstańcie, których dręczy głód"

– głosiły hasła na transparentach. Zarząd Regionu Mazowsze podjął decyzję o przeprowadzeniu protestacyjnego przejazdu ulicami Warszawy w dniach 3–5 sierpnia. Rankiem 4 sierpnia na centralnym rondzie (obecnie Dmowskiego) stało 66 autobusów i 26 tramwajów. Wkrótce pojawiła się platforma z dźwigiem do budowania podium, zjawiło się 250 pracowników FSO i 40 z Fabryki Wyrobów Precyzyjnych im. Świerczewskiego, którzy zgłosili się do służby porządkowej.



Strajk głodowy w Łodzi, 30 lipca

1981 r. (fot. z zasobu AIPN)

W południe rozpoczęto nadawanie nagrań z negocjacji MKS w Gdańsku z Komisją Rządową podczas strajku w Stoczni Gdańskiej w sierpniu 1980 r. Rozpoczęły się występy i prelekcje, które zorganizowała Komisja Kultury NSZZ „Solidarność" Regionu Mazowsze i Wszechnica Robotnicza. Wieczorem odprawiono Mszę św., odśpiewano *Boże, coś Polskę*. Przebywało tam stale od tysiąca do 5 tys. osób. – Szłam wtedy z Buczka w kierunku centrum i próbowałam kupić cokolwiek z pieczywa. W żadnym sklepie nie było nic, udało mi się kupić trzy rożki do lodów. Doszłam do ronda i zostałam. Pamiętam moment, gdy z Hotelu „Forum" wyszła grupka członków Solidarności z Kasią Hinc na czele. Nieśli kocioł barszczu i kosz bochenków chleba. Chleb podawano sobie z rąk do rąk, każdy odrywał kawałek i podawał go dalej. Było w tym coś sakralnego, ludzie płakali, gdy jedli. W hotelu wraz z jednym kolegą czuwaliśmy przy telefonie, pilnowaliśmy kontaktu z Zarządem Regionu, a przez walki-talki mogliśmy porozumiewać z tymi, którzy byli na środku ronda, przede wszystkim z Barbarą Malak – opowiada pani Ewa.

Ta akcja nie mogła przynieść przełomu w relacjach z władzami. W tym czasie trwały już przygotowania do wprowadzenia stanu wojennego. Pani Ewa, podobnie jak jej koledzy zbierający się w Zarządzie Regionu w pokoju numer 4, zdawali sobie z tego sprawę. – Mieliśmy informacje, m.in. od posłów katolickich, jakich uprawnień domaga się od sejmu Wojciech Jaruzelski. Nie można było wprowadzić stanu wyjątkowego, bo tego konstytucja nie przewidywała, ale stan wojenny już tak. Liczyliśmy, że się nie odważą – opowiada. Prowokacji ze strony władzy było coraz więcej, wiec protestacyjny Solidarności na pl. Zwycięstwa (dziś Piłsudskiego) zaplanowano na 17 grudnia. W piątek, 12 grudnia, do Zarządu Regionu dotarły informacje o przemieszczających się kolumnach skotów, czołgów oraz dużych grup milicji w kierunkach: Warszawa, Gdańsk, Wrocław. – W sobotę wyszłam z Zarządu Regionu wcześnie i pojechałam do brata. Pokłóciliśmy się. Mówiłam mu, że rząd chce wypowiedzieć wojnę własnemu narodowi, a on na to, że przesadzam. Skończyliśmy o drugiej w nocy, a kiedy doszłam do domu, działaczy Solidarności z Jelonek, gdzie mieszkałam, już wywieźli. Nic nie zauważyłam, poszłam spać i zostawiłam włączone radio. Obudziło mnie przemówienie Jaruzelskiego. Zanim skończył, spakowałam rzeczy, maszynę do pisania i wyszłam. Dopiero wtedy zobaczyłam ślady łomu na drzwiach, odłupaną farbę, widać było, że ktoś próbował się do mnie dostać – opowiada pani Ewa.



Rondo w Warszawie u zbiegu al. Jerozolimskich i ul. Marszałkowskiej. NSZZ „Solidarność” Regionu Mazowsze w proteście przeciwko decyzji o obniżce kartkowych przydziałów mięsa i trudnościom zaopatrzeniowym zorganizował demonstracyjny przejazd autobusów i ciężarówek przez centrum Warszawy. Przejazd w kierunku budynku Komitetu Centralnego PZPR zablokowała MO, sierpień 1981 r. (fot. z zasobu AIPN)

Przez pierwszy miesiąc ukrywała się na Służewcu przy Sonaty 6 u przyjaciół Lucyny i Zbigniewa Dmowskich. Jednak potem chciała sobie załatwić przedłużenie urlopu i 18 stycznia poszła do zakładu pracy. Sekretarka szybko zawiadomiła odpowiednie służby. Przyjechał ubek i czterech mundurowych pod bronią, zabrali ją do Pałacu Mostowskich. Po czterech dniach trafiła do Aresztu Śledczego na Olszynce Grochowskiej, skąd 10 lutego pojechał transport do ośrodka internowania w Gołdapi. – Pierwszy odjechał 15 stycznia. My byłyśmy w lepszej sytuacji, bo wiedziałyśmy już, gdzie nas zabiorą. Ośrodek leży tuż przy północno-wschodniej granicy, koleżanki, które jechały tam miesiąc wcześniej, naprawdę się bały.

Siła protestu

Wiele z internowanych kobiet, a było ich 397, znała z działalności związkowej. Z uśmiechem mówi, że gdyby ubecy wiedzieli, do czego doprowadzą, zorganizowaliby to inaczej. Kobiety z różnych stron Polski miały tam czas rozmawiać ze sobą, poznawać się, wymieniać kontaktami i wkrótce już wiedziały, na kim można polegać. – Przysłużyło się to nam w kolejnych latach. W niemal każdej miejscowości znaliśmy kogoś, na kogo mogłyśmy liczyć. To była baza dla siatki kolportażu, do przełamywania blokady informacyjnej – wspomina pani Ewa.

Kiedy syn jednej z koleżanek przyjechał na

widzenie, pokonując setki kilometrów, powiedzieli mu, że matka nie chce go widzieć. Dostały o tym informację od jednego z żołnierzy. Szybko ogłosiły głodówkę – przywieźli go, już ze stacji PKP.

Z okresu internowania szczególnie utkwił jej w pamięci 3 maja 1982 r. Wywiesiły wtedy biało-czerwone flagi z kirem – na dachu i na przedniej ścianie budynku. Tego kawałka materiału pilnowało stale kilkadziesiąt dziewczyn, broniły do niego dostępu. Nie zdjęły flagi, choć przeciwko nim wezwano dwa oddziały milicji. – Zaatakowali nas, a ściana była niska, drewniana, oszklona. Stojący na dole milicjanci dostrzegli, że pod naporem zaczęła się ona wyginać. Krzyczeli, żebyśmy odeszły, bo runiemy w dół. Odpowiedziały im: „Ale wy z nami!”. I wtedy musieli się wycofać, bo doszłoby do dramatu, a tragedia jeszcze bardziej nagłośniłaby to święto – opowiada.

W ośrodku odosobnienia kobiety, działaczki Solidarności były bardzo aktywne. Słuchały wykładów z historii, przekazywały sobie nawzajem informacje o sytuacji w regionach, które czerpały z listów i wizyt rodziny. Miały też radio, bibliotekę drugiego obiegu, którą prowadziły Elżbieta Kwiatkowska i Krystyna Kuta oraz ręcznie przepisywane czasopisma. Uczyły się języków obcych, a każdego trzynastego zbierały się na balkonach i śpiewały patriotyczne pieśni. W czasie widzeń starały się dodać otuchy rodzinom. Basia Oroń, drobna dziewczyna z Wałcza, uznała, że skoro jej rodzina przyjechała z daleka, to ona im zaniesie wazę zupy. Ubek ją zatrzymywał, pouczał, na co ona wykrzyknęła: „Milcz, jak do mnie mówisz!”. Niby mała rzecz, ale działa się na oczach kolejki rodzin oczekujących na widzenie. Czuli, że internowane nie dały się podporządkować ubekom. Ale były i dramatyczne momenty. Kiedy syn jednej z koleżanek przyjechał na widzenie, pokonując setki kilometrów, powiedzieli mu, że matka nie chce go widzieć. Dostały o tym informację od jednego z żołnierzy. Szybko ogłosiły głodówkę – przywieźli go, już ze stacji PKP. Innym razem podjęły głodówkę, kiedy nie chciano puścić Haliny Gaińskiej na pogrzeb syna do Szczecina. Poskutkowało. – Trzeba stawiać opór. Wiele zła dzieje się tylko dlatego, że ludzie nic nie robią – podkreśla pani Ewa.

Wyjście

W Gołdapi dostawały od służb kościelnych leki, dary, chciały je po wyjściu na wolność przekazać do pobliskiego szpitala. Zapakowały wszystko w trzy tekturowe duże pudła i wyznaczyły osoby, które miały je wynieść. Ewa była pierwsza, ale w dniu wyjścia na wolność, 23 lipca, poddano ją rewizji. Panowie z SB z lubością darli bandaże, rozdeptywali tabletki. Obok stały Anna Walentynowicz i Alina Pienkowska, która jako pielęgniarka nie mogła na to patrzeć. One miały wynieść pozostałe pudła i wtedy się zbuntowały. Ewa wyszła, one zostały. – Czekałyśmy na zewnątrz większą grupą, żeby wiedzieć, co się z nimi dzieje. Ci ubecy w ostatnim okresie byli wiecznie pijani. Teraz porozumiewali się z Warszawą, co robić, ale do wieczora

dziewczyny nie wyszły. Przenocowałyśmy na plebanii, a rankiem wróciłyśmy pod szlaban. Długo trwały te przepychanki i w końcu pojawiły się z transparentem „Solidarność”. Nakręciła to telewizja amerykańska, która tego ranka też się tam pojawiła. Mają ten materiał, ale zgodzą się nam go udostępnić za bardzo wysokim wynagrodzeniem – dodaje pani Ewa. Podkreśla, że nie zna osoby, która po wyjściu na wolność zrezygnowałaby z dalszej opozycyjnej działalności.

Pani Ewa już 25 sierpnia w Częstochowie włączyła się w głodówkę protestacyjną w celu wypuszczenia na wolność zatrzymanych kolegów z Solidarności i zakończenia stanu wojennego. O rocznicy powstania Solidarności, 31 sierpnia, SB nie zapomniało. – Rewizja w mieszkaniu, z odzieraniem grzbietów książek, żeby je celowo zniszczyć, i zatrzymania. W Pałacu Mostowskich, w celi spotkałam się z moją obecną bratową, działaczką opozycyjną, w dniu, w którym się umawiałyśmy, tylko w innym miejscu – wspomina. – Pewnego dnia przyjechała do niej Anna Walentynowicz i powiedziała, że za dwa dni społeczeństwo Wybrzeża wyrazi wdzięczność górnikom z Kopalni „Wujek” przez zawieszenie dwóch upamiętniających tablic. Jedna zostanie wmurowana na murze kopalni, a druga w pobliskim kościele. W sobotę pani Ewa musiała iść do pracy, ale obiecała, że na niedzielną Mszę przyjedzie.

> Na proces przyjechała Irena Byrska, aktorka grająca w filmie Człowiek z żelaza matkę Anny Walentynowicz. Została przez ubeków potraktowana w sposób poniżający: krzyczeli, że „stare kobiety mają siedzieć w domu!”.

Na dworzec w Katowicach miała po nią wyjść Ela Seferowicz, poznana w Gołdapi lekarka z Gliwic, ale się nie pojawiła. Pani Ewa wsiadła więc w taksówkę i podjechała pod „Wujka”. Tam zaczęła robić zdjęcia bramy i wiszących na niej kasków. Wtedy złapali ją ubecy, na co była przygotowana: miała przy sobie szczoteczkę do zębów, pastę i kapcie. – Z Anią spotkałyśmy się po zatrzymaniu. Najpierw zawieziono mnie na komisariat na Kilińskiego (teraz jest tam IPN). Ania opowiadała mi, że tę akcję przygotowali z Kazimierzem Świtoniem – wspomina. Jego też wkrótce spotkała, w areszcie przy Mikołowskiej, gdzie czekał na osadzenie w celi. Spotkali się i uściskali. Pani Ewa trafiła do celi z Hanną Nikodem z Katowic i Teresą Aleksandrowicz. Obie z Anną Walentynowicz znalazły się w więzieniu w Lublińcu 16 grudnia. – Tam siedziały dziewczyny, które były wywożone do pracy do Blachowni i dzięki nim wysłałam kartkę pocztową do rodziny, żeby wiedzieli, gdzie jestem – wspomina pani Ewa.

Potem odwieziono ją do Krakowa na Montelupich, gdzie był szpital dla kobiet. – Muszę powiedzieć, że niesłychanie przyzwoicie zachowywali się wobec nas lekarze, pomagali nam. Pytali, czy chcę jechać na

proces, bo jeśli nie, to oni się nie zgodzą. Wolałam być na procesie, ale prosiłam, aby mnie nie wyrejestrowali, bo chciałam wyjść na wolność z Krakowa, a nie z Katowic. Miałam notatki i wiersze pisane w więzieniu i wolałam to móc zabrać ze sobą, a byłam pewna, że w Katowicach wszystko mi zabiorą. Na Śląsku pracownicy służb więziennych byli znacznie bardziej brutalni i prowadzili własną wojnę z aresztowanymi, natomiast ci w Krakowie byli wobec nas neutralni. Na proces przyjechała Irena Byrska, aktorka grająca w filmie Człowiek z żelaza matkę Anny Walentynowicz. Została przez ubeków potraktowana w sposób poniżający: krzyczeli, że „stare kobiety mają siedzieć w domu!". Było ich, tych ubeków, pełno na salach sądowych tak, by bliscy i rodzina oskarżonych nie mogli wejść do środka. Kazimierza Świtonia sądzono z wolnej stopy, ale gdy wszedł na salę rozpraw, próbował się dostać na ławę oskarżonych. Siedzący po obu stronach milicjanci nie chcieli go wpuścić: „Pan tu nie może siedzieć. Tu jest ława oskarżonych!" – krzyczeli. – „No właśnie! Przecież ja jestem oskarżony" – odpowiadał. –Wyglądało to jak walka o najbardziej zaszczytne miejsce. Rozczulił mnie, bo przyniósł dla nas po bukieciku stokrotek, a milicja się na nie rzuciła, jakby zawierały pęk granatów – opowiada pani Ewa.

Wyszła z Montelupich, tak jak chciała. – W czasie procesu zwolniono Anię Walentynowicz, następnego dnia mnie. To, że wyszłam, zawdzięczam ks. Jerzemu Popiełuszce, który napisał o moim aresztowaniu do bp. Władysława Miziołka. Biskup wystąpił o zwolnienie do gen. Kiszczaka. Wyszłam ze względu na pogorszenie się zdrowia z powodu cukrzycy – mówi pani Ewa. Choroby nabawiła się po Gołdapi. Przyjechali po nią brat i koleżanka z podziemia, a dziś bratowa. Matka się o nią martwiła, ale wiedziała, że Ewa musi robić swoje. Wkrótce pojechała z Ireną Byrską na proces Walentynowicz do Grudziądza. Dopiero dziś zdaje sobie sprawę, jak mogła się czuć pani Irena, gdy nocą goniły pociąg, a miała wówczas ponad osiemdziesiąt lat. – Wspaniała, zapomniana postać. W mieszkaniu Tadeusza i Ireny Byrskich przy Narbutta 22 odbywały się spektakle Teatru Domowego – opowiada. Grudziądz był więzieniem bez kanalizacji, a przebywały tam kobiety w ostatnim okresie ciąży i po porodzie. Straszne miejsce.

Gorzkie zwycięstwo

Gdy 10 grudnia 1986 r. Zbigniew Romaszewski założył Komisję Interwencji i Samorządności NSZZ „Solidarność", Ewa Tomaszewska weszła w jej skład. Pamięta majowy strajk w 1988 r. w Stalowej Woli, potem sierpniowy strajk w kopalniach i Hucie Sędzimira, konferencję praw człowieka w Krakowie-Mistrzejowicach organizowaną przez Romaszewskich. Pod koniec sierpnia jechała z Warszawy do robotników z pieniędzmi zebranymi pod kościołem św. Stanisława Kostki. Około pół miliona ugniecione w ceratowej siatce, a na wierzchu: gazeta, cebula, kapusta, ziemniaki. Jechał z nią Czesław Dygant z Solidarności Telewizyjnej, miał obserwować, czy jej nie zaaresztują gdzieś po drodze. Wyruszyli pociągiem do Katowic, później autobusem do Jastrzębia.

U ks. Bernarda Czerneckiego byli już górnicy, którzy wyszli ze strajku. Okazało się, że to pierwsza pomoc, jaką dostali. Potem trzeba było przekazywać środki, które przyszły z zagranicy i z Komisji Krajowej z Gdańska do zakładów, gdzie trwały strajki, więc członkowie i współpracownicy Komisji Interwencji ruszyli w Polskę. – Pomysł Romaszewskich był taki, aby na oczach załogi związek wypłacał ludziom za okres strajku pieniądze –

opowiada. Podkreśla wagę tej idei, dowód na to, że związek istnieje, jest skuteczny i pomaga. Wspomina Danusię Pikałę i Alojzego Pietrzyka, który też był emisariuszem. Raz zatrzymał się w Częstochowie, gdzie w rocznicę podpisania porozumień zorganizowano manifestację. Poszedł na jej czele, z pieniędzmi w kieszeni, miał szczęście, że go nie zatrzymano. Potem z rąk nieznanych sprawców zginęli księża Stefan Niedzielak i Stanisław Suchowolec, a już po okrągłostołowych porozumieniach – ks. Sylwester Zych.

> Uważa, że należy do pokolenia wielkiego sukcesu, bo zwyciężyli i wojska sowieckie po tylu latach wyjechały z Polski. – Pokolenie Solidarności jest tym, które metodami bezkrwawymi doprowadziło do jako takiej suwerenności, choć może nie pełnej – opowiada.

Ewa Tomaszewska wspierała przemiany, uważała, że trzeba choćby małymi krokami posuwać się do przodu. – Ale jeśli 4 czerwca naród, suweren wypowiedział się, to nie było żadnych podstaw prawnych, aby w toku wyborów zmieniać ich zasady i charakter. Tymczasem strona solidarnościowa cofnęła się do pierwszych ustaleń, tak jakby tego głosowania 4 czerwca nie było – mówi z żalem. Poza tym nie ponieśli odpowiedzialności za komunizm ci, którzy nim kierowali, bo to z nimi podpisano porozumienie.

Wiele zmieniło się na korzyść, ale nie wszystko. Ludziom nie zapewniono poczucia sprawiedliwości. Pierwszymi, którzy zapłacili za zmiany w systemie, byli robotnicy z wielkich zakładów, którym zlikwidowano miejsca pracy. Wyrzucono ich na bruk. – Nie potrafiliśmy obronić tych ludzi – mówi ze smutkiem pani Ewa. Przyznaje również, że kilka rzeczy zrobiłaby w życiu inaczej, ale żadnego dnia walki z komunizmem nie żałuje. Uważa, że należy do pokolenia wielkiego sukcesu, bo zwyciężyli i wojska sowieckie po tylu latach wyjechały z Polski. – Pokolenie Solidarności jest tym, które metodami bezkrwawymi doprowadziło do jako takiej suwerenności, choć może nie pełnej – opowiada.

Mówi, że przyszłość wymaga wiele pracy, a edukacja młodych w latach dziewięćdziesiątych została w dużej mierze zaprzepaszczona. – Jak pisał Miłosz: „Lawina bieg od tego zmienia po jakich toczy się kamieniach”. Nie dajmy sobie wmówić, że od nas nic nie zależy, musimy być odpowiedzialni za to, co robimy – apeluje.

Najgorsze według niej w systemie komunistycznym było łamanie ludzkich charakterów. Wymuszanie podporządkowania się, a potem szantażowanie ludzi. – Były to straszne czasy, kiedy nie było łatwo nie przyłożyć ręki do zła. Bo jak się ma do wyboru podpisać kwitek i pojechać na Zachód, leczyć ciężko chore

dziecko, czy też nie podpisywać i nie móc go leczyć – to są straszne wybory. Dziś ubecy upominają się o utracone części emerytur, chcą być nagradzani za działania przeciw normom tego państwa. Nie biorą pod uwagę tego, że nawet jeśli ktoś był „tylko" kierowcą w MSW, to i tak dostawał wyższe wynagrodzenie niż inni w zwykłym zakładzie pracy i swoim działaniem przykładał się do funkcjonowania systemu. Przecież miał wybór. Nie musiał pracować w tej instytucji, ale miałby wówczas trudniejszy dostęp do mieszkania i byłoby mu trudniej w życiu – tłumaczy.

Jest jej przykro, że jedynie ambasada amerykańska zaprasza co roku do swojej szkoły kobiety Solidarności, te represjonowane, na spotkania z młodzieżą i dziećmi pracowników ambasady i innych instytucji USA. Natomiast w Warszawie gości je tylko jedna polska szkoła. – Tworzy się świat bez wskazań moralnych tamtego okresu. Nawet bez ukierunkowania, aby młodzi pytali o to własnych rodziców, dziadków – mówi ze smutkiem pani Ewa.

Przez 14 lat była członkiem Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność". Przez 10 lat w Prezydium KK odpowiadała za politykę społeczną Związku. W 1997 r. została posłanką z ramienia Akcji Wyborczej „Solidarność", potem senatorem, była też eurodeputowaną w Parlamencie Europejskim. Pracowita, kompetentna, często, gdy obrady w Sejmie kończyły się o godzinie drugiej, trzeciej w nocy, to właśnie ona na zakończenie wygłaszała przemówienie i spała potem gdzieś na sejmowej kanapie. Nie sposób wyliczyć inicjatyw, w które się zaangażowała, m.in. współtworzyła Hospicjum Świętego Krzyża na Mokotowie. Jako posłanka zawsze pochylała się nad losem człowieka cierpiącego, skrzywdzonego. Często wykupywała recepty tym, którzy na nią czekali pod biurem, a swoje diety poselskie przeznaczała na działalność charytatywną. Nadal jest też członkiem uniwersyteckiej Solidarności UW.

Nieśmiała, skromna, dobra. Odbierając państwowe odznaczenia, zachowywała się, jakby się jej nie należały. – Nigdy nie oczekiwałam podziękowań, odznaczeń. W moim życiu największym uhonorowaniem było, że ks. Jerzy Popiełuszko mówił do mnie po imieniu – podkreśla wzruszona.

Tekst pochodzi z numeru 12/2023 „Biuletynu IPN"

COFNIJ SIĘ